Nr. 7 — 8 10 Czerwca, 1923. Rok. I.

BIAŁY PAW'

BIULETYN TEATRALNO-MUZYCZNY

Powrót pomnika.

Jak długo trwały ciemności, a ciężkie chmury losu dotykały prawie głów narodu?

W tej chwili, wobec tego co wyrosło tak wspaniale z pod ziemi Saskiego placu — mówmy tylko o latach studziesięciu — niespełna. W październiku r. 1813 była ta straszliwa i heroiczna chwila, kiedy polski wódz i książę, trzy dni przedtem mianowany marszałkiem Francji przez Napoleona—musiał zmagać się z nawałą pruską, wdzierającę się do Lipska. Wtedy to Józef Poniatowski po wysadzeniu przez wojska Bonapartego mostu na Elsterze, rzucił się z koniem, żeby przebyć wpław jej spienione fale.

Wiemy, że nie przebył. Fale go pochłonęły.

Legendy wieków mają ten piękny instynkt, że sławnym ludziom kładą w usta, już przygotowane do wychylenia puharu śmierci, wielkie, wiekopomne słowa. Podobnie i książe Józef, natchniony i oszalały męstwem i dumą, miał odrzec tym, co nakrótko przed tem wzywali go, żeby się poddał — pamiętne słowa. Były one tak proste, tak logiczne, tak zgodne z naturą tego polskiego żołnierza — rzymianina:

„Bóg mi powierzył honor polaków. Jemu go tylko oddam!"

Więc takiemu polakowi—rzymianinowi kazał ks. Czartoryski wznieść pomnik godny Rzymu i wszystkich ojczyzn herosów, ginących z gestami półbogów. Pomnik ten, dłuta Thorwaldsena, rozmyślnie przypominający Marka Aureljusza posąg konny, stanął oto teraz tryumfalnie na płaskim Akropolu Warszawy, otoczony wspomnieniami królów polskich, choć elektorów saskich, w obliczu blizkiej już bo jutrzejszej piramidy gruzów bizantyjskich złamanej potęgi.

Ta epoka dawna i ta doba dzisiejsza są do siebie pod jednym względem podobne — bliźniaczo podobne. Gdy konał książe Józef, to był punkt szczytowy wielkiej epopei polsko-napole-

ońskiej. Cokolwiek mówi i myśli historja o szczerości cesarza Francji w stosunku do Polski, cokolwiek piszą o tem poeci i powieściopisarze, jedno jest pewnem, że genjusz wojenny obu narodów bratał się i rodził pełne czaru, utajonej mocy i uroczego patosu osobistości, jak ten oto drugi polak, ks. Sułkowski, któremu Napoleon powierzyl dowództwo naczelne nad wojskiem polskiem po zgonie księcia Józefa.

I drugie jest pewnem, że jak wówczas buławę marszałkowską brał z rąk nowożytnego cezara wojak polski, tak teraz bierze buławę marszałkowską z rąk Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej wielki wódz francuski i pokonawca potęgi niemieckiej, marszałek Foch. Te dwie buławy, to dwa wierzchołki dziejów, dwa śluby lgnących do siebie od stuleci narodów, dwa wielkie spięcia na stropie przymierza polsko-francuskiego, dwa hejnały jubileuszowe przyjaźni krwi, ideałów i przebijań się przez najazdy sąsiadów.

Pomnik ks. Józefa Poniatowskiego będzie wiecznie te dziwne i iście homeryckie chwile przypominał. Jeśli by w kim zamarła pamięć tego, co się nazywa, wzorem rzymskim: *virtus militaris*, on ją będzie swym stylem i majestatem rzymskim odnawiał wskrzeszał. Jeśliby komuś z dorobkiewiczów historji, małych a zachłannych narodów, wydawało się, że związek z Francją jest naprędce i w potrzebie skleconem przymierzem czy traktatem, pomnik Józefa Poniatowskiego nauczy rozumu i uprzytomni, że już przed stu dziesięciu laty na tych samych polach posiewały się kości polaków i francuzów, nad temi samemi błoniami powiewały orły napoleońskie i orły legjonów polskich, w tych samych spienionych nurtach rzeki tonęli bohaterowie z nad Sekwany i bohaterowie z nad Wisły.

Kiedy wojska sprzymierzeńców, którzy osaczyli Napoleona weszły do Paryża, a było to 31 marca 1814 r., tragiczny i genialny cesarz, składając koronę, wyjednał u władców trzech państw rozbiorowych: Rosji, Prus i Austrji „że wojsko polskie wszelkiej broni, zostające w służbie Francji, będzie miało wolność wrócenia do kraju swego z bronią i bagażami, a to w uznaniu chwalebnej ich służby".

Oto jak dawne są te bratnie węzły męztwa i koleżeństwa oręża.

Dzisiaj, przed laty pięcioma jeszcze, tak samo walczyli polscy żołnierze ramię w ramię z francuskimi, odpierając i tępiąc nawałę niemiecką. I tak samo nad Wisłą generał Weygand z gene-

rałem Piłsudskim ocalali Europę przed naporem rosyjsko-azjatyckiej barbarji.

Tego wszystkiego emblematem jest cudownie wracający na ojczyzny łono pomnik Józefa Poniatowskiego. Nawet wróg, mocny w zagładzie cywilizacji i majster w niszczeniu i burzeniu, uszanował i dzieło sztuki i wielkiego bohatera, którego artysta duński zaczarował w spiż.

Albowiem bohater to naprawdę jak z legendy. Dusza ludu przylgnęła do niego, jak do swego ukochanego wodza. Żołnierz polski zna księcia Józefa z poezji, podań, powieści i teatru. Ułani księcia Józefa to ci, co wzburzają krew w żyłach kobiet, a w młodzieńcach podżegają animusz wojenny, to wcielona fantazja i kawalerskość, malownicze a dzielne postawy, to, słowem, czysto narodowy wykwit i kwiat wojska polskiego.

Żaden z polskich generałów Bonapartego nie zyskał tej miłości narodu i nie był ukoronowany taką popularnością. Krewniak króla, nosił jego nazwisko i wyręczał go w sławie czynu zbrojnego i życia obozowego. Tamten—cieplarniana, egzotyczna roślina, jak gdyby ostatni, już nieco wydelikacony i przewrażliwiony piastun polskiej królewskości, ten zaś—świt i zorza entuzjazmu rycerskiego i miłości ojczyzny, spadkobierca wprawdzie minionej doby, cnoty wojennej hetmanów i bohaterów, ale więcej jeszcze protoplasta i zwiastun przyszłej energji, która czekała tylko narodzin wielkiego, niepodległego wojska polskiego, ażeby w nie wstąpić.

Ta chwila właśnie trwa.., Ostatnim zaś jej złotym błyskiem był dzień odsłonięcia pomnika Józefa Poniatowskiego w obecności chwał i chlub obu zbratanych narodów.

Dramat i komedja.

TUROŃ W REDUCIE. Reduta nie ma swojego turonia, jak chłop polski w czasie rzezi galicyjskiej, ale ma o wiele łagodniejszego złego ducha — niezdecydowanie. Brak wyraźnej linji wytycznej, która by tak mocną była, jak linja wytyczna pracy i poświęcenie, sprawia, że nigdy w teatrze Reduta nie wiemy, gdzie jesteśmy. Czy to rozpęd do skoku, przygotowanie do wielkiego rzutu sztuki, pauza surrogatowa, maskująca kucie mieczów za kulisami, czy pomyłka i zejście z gościńca, czy brak literackiego wykształcenia, czy brak jednolitej miary?

Na scenkę kameralną, której przystoją ciekawe gry dusz i charakterów, lub sama poezja teatralna, ciśniono żywiołowe wrzaski bestjalności „Turonia" Żeromskiego. Gnębiące zdenerwowanie owłada widzem, gdy mu się walą w uszy ciągłemi łoskoami rozżarte wycia rezunów Szeli. „Turoń" w Reducie to nie dysonans, uprawniony w sztuce tak samo jak harmonja, lecz po prostu fałsz, fałszywy ton.

Sztuka znakomitego autora, tego, co po Wyspiańskim najgłębiej wsondował się w glebę mowy polskiej,—powinna była być grana w innym teatrze. Rzezie i pożary, topory i kłonice, to nie pani Recamier, z której się robi miniaturę.

W tych zaś ramach widząc „Turonia", powiedzieć o nim coś stanowczego — czyż może krytyk uczciwy i przytomny, nie zahypnotyzowany blaskiem nazwiska Żeromskiego?

Niesłychanie szkodliwy dla przyszłości teatru, który prowadzą panowie Osterwa i Mieczysław Limanowski — jest pieszczotliwy wprost stosunek do nich opinji publicznej. Ujma się dzieje autorowi, że się wtłacza jego dalekie perspektywy i symbole w cztery ściany saloniku szlacheckiego, i ujma teatrowi ideowemu że tak uchwycić nie może swojej idei, jsk gdyby to był niebieski ptak z baśni Materlincka.

Wobec spełnionego faktu — zaznaczyć się godzi. że gra pp. Stefana Jeracza i Poręby jest wielkiem odetchnieniem, które nagradza nam pewien przesyt zbytecznemi fortissimami pani Osterwiny. Na wyróżnienie zasługuje ponadto gra p. Chmielewskiego Pan Hofman w roli Krzysztofa Cedry nie czyni wrażenia artysty zawodowego.

MĘŻCZYZNA I KOBIETA — komedja Lakatosa, padła na scenie teatru Rozmaitości, pomimo że na szerokim świecie uchodzi za najlepszą sztukę autora „Szafiru" (granego u nas niedawno w Komedji) i pomimo, że jej bohater, znakomity profesor, był zinterpretowany przez p. Fritschego poprostu znakomicie. Myśl Lakatosa: bezefektowna ale wierna miłość umysłowca, który po rozstaniu się z żoną, czuje się, mimo tęgą minę—pustym i złamanym, oraz przywiązanie żony, która pozorami wiarołomstwa i lekkomyślnym flirtem omal nie zburzyła i gniazda i pracowni geniuszu. Obie psychologje są pełne prawdy życiowej i świetnych spostrzeżeń.

Dla czego sztuka padła? Po pierwsze: należy do rzędu inteligentniejszych, nie cyrkowych. — Powtóre: p. Dulębianka gra ży-

wo i na ogół wybornie, ale skwitowała z wdzięku kobiecego i smaku w aparycji. To nie „kobieta“ z romantycznego tytułu komedji, lecz zaniedbana, nieciekawa mężatka. Trudno się w niej zakochać i nie łatwo być o nią zazdrosnym. Bez wdzięku jest niedoszły kochanek, pan Nowacki. Wdzięk teatralny posiadają tylko pp. Fritsche oraz bardzo dobry p. Noskowski jako „typ“ lekarza, dobrej duszy, skromnego człowieka.

Reżyser p. Chaberski wielu rzeczy niedopilnował; cały akt pierwszy grany nudno, a tekst jest pełen irytujących powtorzeń. Stąd rachunek prosty:

150 razy „szanowny pan“, „szanowna pani“ i t. p.
100 razy wyraz; wykłady.
50 razy słowa: karpie w papryce.

Suma — Zero w kasie teatralnej.

WIELKI DONŻUAN. Tym razem p. Junosza-Stępowski był naprawdę inny. W roli wielkiego śpiewaka-barytona znalazł temat do znakomitej charakterystyki. Tak właśnie powinien wyglądać premjer wszechświatowej sławy, gdy przychodzi pierwsza złowróżbna chrypka i zawodzi pierwszy raz kobieta, na którą liczył. Chwilę przełomową życia, zwalenie się na głowę dwu katastrof na raz — p. Junosza wypowiedział samą tylko twarzą po mistrzowsku. Była to niezrównana gra mięśni i oczów, w mig ocuglonych przez wolę i dumę. Ten moment musiał trwać krótko, gdyż wielki Donżuan nigdy nie podda się ani rozpaczy, ani nawet zwątpieniu. Tutaj wznieśli się do pewnej wysokości autorzy, podobno amerykanie Hatton. W innych bowiem scenach przeważa szablon sztuk malujących komizm i wieżę Babel artystów po za sceną, począwszy od „Kammersaengera“ Wedekinda, a kończąc na Jewreinowie.

P. Zelwerowicz mógł być tylko znanym typem—niczem więcej — dyrektor opery i przedsiębiorcy, narażonego na ataki kaprysów, rywalizacji, plotek, intryg, megalomanji, hysterji i t. p. P. Gromnicka dała jeszcze jedną odbitkę z tuzina swoich fotografji.

Dr. STIEGLITZ. Autorzy tej komedji grywanej teraz w Qui pro quo, nazwali ją „familijną.“ Jest ona jednakże więcej niż familijną, jest całkiem i absolutnie prywatną. Jej główny bohater, ojciec doktora Stieglitza, fanatyk dumy z syna lekarza i despotycznie, gorąco gwałtownie, zakuto i obraźliwie kochający go, jest okazem dawnego patrjarchy, który nie dorósł do wysokości typu teatralnego. Stary Stieglitz męczy swą ciasnotą nieuleczalną, krzykiem, wybuchami, natręctwem i wścibstwem swej niezręcznej opieki. Podłoże miłości ojcowskiej nie wynagradza widzom tej strasznie drobnomieszczańskiej, więcej: drobnomiejskiej ciasnoty i krót-

kowzroczności. Wynagradza ją prędzej dużo zabawnych djalogów i komizm nerwowy opryskliwości człowieka dokuczliwego, któremu się zdaje — i tak zdaje się pewnie autorom — że jest samem sercem i samym rozumem.

Tymi autorami są A. Fridman i L. Nerz. Głównym zaś aktorem w realizacji tej sztuki jest p. Ignacy Berski, z teatru „Bagatela" w Krakowie, doskonały i pełen łudzącej prawdy. Sekundujący mu p. Kucharski, w roli doktora Stieglitza, nie wie, całkiem naturalnie, co zrobić z tym ojcem i nie ma wdzięcznego zadania na scenie. Wyróżnia się w epizodycznej roli zramolowanego młodzieńca von Vrieschei-ma p. Winawer, — to urodzony pomysłowy aktor.

Scenarjusz kabaretowy całkiem przystoi d-rowi Stieglitzowi. W ramach szerszych byłoby to istotne qui pro quo.

ODRODZENIE TEATRU „KOMEDJA". Dr. Szyfman rzekł do „Komedji": Musisz być moją—i tak się stało. Symboliczne więc znaczenie miała premiera farsy—komedji p. t. „Musisz być moją". *(Pour avoir Adrienne)* Verneuila, tłomaczona przez Boya, reżyserowana przez Janusza. Wszystkie ukryte wdzięki tego ładnego i miłego budynku teatralnego odrazu wystąpiły na wierzch. Czarodziejska różdżka wzorowego gospodarza—odrazu pechowego kopciuszka zrobiła ulubieńcem publiczności. Jasno, widno, czysto wesoło, Szyfman odpeszył i odkartkował „Komedję". Można się z nim nie zgadzać na punkcie pojmowania zadań i celów teatru w rozległym zmartwychwstałym narodzie, można nawet łatwo dowieść, że dramat parysko-moskiewski nie jest bynajmniej dramatem polskim, ale niepodobna odmówić mu jednego tytułu: złej gospodarce teatrów miejskich przeciwstawił znakomitą gospodarkę—teatrów swoich.

Co do samej sztuki Verneuila, to rzecz prosta, jest zabawna, mile niecnotliwa. „Cierpliwością a pracą dobijesz się celu" uwiedzenia cudzej żony—oto treść jej i sens. Oczywiście, każda z pań, zebranych na widowni, sprzyjała całem sercem zabiegom Jerzego Leszczyńskiego — tak był znakomicie zabawny i przedsiębiorczy i może żałowała, że nie jest bohaterką sztuki Cóż o Fertnerze? Wiedzą wszyscy. Cóż o p. Mili Kamińskiej? Też wiedzą wszyscy, ale to, że jej grozi monotonia. Byliński zawsze znajdzie koncepcję charakterystyczną.

SIEDMIU POWIESZONYCH. Leonidasa Andrejewa opowieść sceniczną w 5-ciu odsłonach usłyszeliśmy na deskach Teatru Centralnego, w mowie, z której niewiele można byłoby zrozumieć, gdyby nie częsta, umyślnie przez artystów potęgowana blizkość niemieckiego. Sława wykonania „Dybuka" przez trupę wileńską rozeszła się daleko i szeroko. Teatry polskie podobno ten i ów

pomysł w reżyserowaniu swoich sztuk od niego pożyczyły. Nie sprawdzaliśmy — nie wiemy. Ale to jest dla widza bezstronnego jasnem, że opowieść Andrejewa miała też wykonawców doskonałych. To znaczy, że ekspresja i plastyka ich gry czyniła rozumienie żargonu żydowskiego prawie zbytecznem, że siła wyrazu psychologicznego wynagradzała dziwaczną zmiętość i zgniecenie mowy żydowskiej, że ponad prowincjonalizm djalektu wyrywała się na wierzch ta gejzerowa struga uczuć ogólnoludzkich a głębokich, któremi jest przepojona werystyczna sztuka rosyjskiego pisarza.

Podkład miłosierdzia, braterstwa, wzniosłości i czystości, które się budzą nawet wśród urodzonej zbrodniczej ciemnoty i czynią ją w obliczu niedalekiej szubienicy równą lekkoduchom i męczennikom idei rewolucyjnej — zaskórna woda łez tych pozornie realistycznych tylko dokumentów tragedji duszy rosyjskiej — zostały odtworzone przez grupę Teatru Centralnego z niezwykłym darem wzruszania słuchacza do najgłębszej głębi. Możnaby myśleć, że pomógł im do tego odwieczny talent czy geniusz płaczu i bólu, przekazany plemieniu żydowskiemu przez tę przeszłość, kiedy ona rodziła Chrystusa, a wykultywowany przez te dwa tysiące lat chrześcijaństwa, ktore się Go zaparło.

Reżyserował sztukę p. Zygmunt Turkow, jego więc zasługą jest należyte i właściwe ujęcie jej charakteru i treści. On też był świetnym tatarzynem-dusicielem. Wyróżniali się specjalnie pomysłowością ujęć pp. Mandelblit w roli podwójnej, sekretarza ochrany i potem egzekutora wyroku, oraz Ledermann jako napół zidjociały estończyk:

Nie jest to sprawozdanie. Nie wymieniamy nazwisk. Wszyscy aktorzy byli na wysokości tonu Andrejewa. Tylko sam teatr ubogi, skromny, niedość przytem zapełniony, natrętnie nasuwał kilka pytań.

Dlaczego ci ludzie istotnego talentu i umiłowania sztuki, czysto i pięknie mówiący po polsku, z patentami szkół polskich, a nieraz nawet dramatycznych, nie stwarzają teatru, z artystów żydów złożonego, lecz polskiego? Czy nie to byłoby lepsze i prostsze od całej sofistyki upierania sie przy żargonie? Czy nie to dałoby im prawa, które im większość społeczeństwa odbiera? Czy nie to włożyłoby im w ręce moc czarodziejską propagandy kulturalnej? Czy myślą oni — jest to żałosne nieporozumienie, — że publiczność żydowska woli teatr codzienny niż odświętny, biedny

niż wykwintny — ta publiczność, co pierwsza w ubieraniu siebie słucha najświeższej mody, a w sposobie życia zawsze chce być na wyżynie blasku, i przepychu? Czy nie czas w odnowionym świecie zerwać z szablonem, mieć teatr naprawdę swój, naturalny, szczery, nie posiłkujący się sztuczną ideowością amalgamatu żydowsko - niemiecko - kosmopolitycznego?

Ś. P. EDWARD LUBOWSKI. W zwięzłym swym biuletynie „Biały Paw“ może tylko smętny pokłon złożyć pamięci pisarza i komedjopisarza, który ongi królował na scenie polskiej komedji. Czy naprawdę umarł on już za życia, jak śpiewają unisono wszyscy znawcy teatru? Czy, mówiąc słowami Fredry (*Odludki i poeta*) „nie przeszedł grobu sławą i umarł przy zgonie?“

Autor wielu powieści i mnóstwa komedji, sławnych ongi i głośnych, jak np. „Nietoperze“, doczeka się większego studjum, jak już zdobył trwałe miejsce w historji polskiej twórczości scenicznej, ale w tej chwili jest pewnem, że otaczało go powszechne milczenie i że z tego milczenia wyrwała go dopiero cicha, milcząca śmierć.

Są zgony, za któremi wlecze się jak kir, fatalny sens moralny: społeczeństwo, może właśnie szczególnie społeczeństwo nasze, jest wielkim prowokatorem: kusi i zmusza do pisania sztuk dla premjer i premjerowej publiczności, lecz nie dla treści, nie dla sztuki, nie dla myśli, nie dla państwa twórczości. A potem bezmyślnie je tratuje, jak uschłą zeszłoroczną trawę.

Edward Lubowski był jednym z takich najbardziej prowokowanych i potem bezceremonjalnie za życia pochowanych.

Z opery i estrad.

OPERA I PRACA. Nad operą słychać głośniejsze, niż innych lat krakania kruków. Lecz ponieważ kruki są to dzisiaj tacy sami bluffiści, jak ludzie, przeto można być o los opery spokojnym. Przyszłość jej jest murowana: jedna premiera na rok, pod sam koniec sezonu, w czerwcu, kiedy ma przybyć do stolicy Rzeczypospolitej znakomity gość. Dla tego gościa opera musi zostać. O społeczeństwo, publiczność, muzyków, śpiewaków i tę hołotę krytyków, którym się na najważniejsze przedstawienia nie posyła zaproszeń —mniejsza. Magistrat orzekł: *l'etat c'est moi.*

Marnotrawstwo cennych sił śpiewaczych, które już są w składzie opery, i tych które z każdym dniem się pojawiają, i marnotrawstwo zapału publiczności, która przecież zapełnia teatr ilekroć uczuwa jaki powiew świeży na scenie, coś nie nudnego i kogoś nie znudzonego—wytłumaczyć tylko można chorobliwym nałogiem leniwego rozpierania się na zdobytych posadach, wstrętem do pracy i inicjatywy, brakiem elementarnego ducha organizacji i wzajemnem a bezustannem podstawianiem sobie nóg.

Wrócił po latach wygnania i niewoli bolszewickiej pracownik niezmordowany, reżyser pełen entuzjazmu i energji, któremu zawdzięczamy wszystkie szlachetniejsze opery warszawskiego repertuaru—p. Mikołaj Lewicki: Jest to siła pewna, wyrobiona, nie kaprys, impulsywność i nerwowość zwykłych zbawców teatru Wielkiego, lecz czynnik pracy twórczej równy, stały, niezawodny, absolutny. Ponieważ tedy jest aksjomatem, że powinien wejść do koła współpracy w operze i równoważyć kaprysy, nerwowości i wrażliwości — przeto już wszechwładna intryga zaczyna przeciw niemu wysuwać jadowite macki. Miejmy nadzieję, że pozostanie bezsilną.

Operze wolno wiele: wolno trwonić talenty wokalne, trwonić pieniądze na puste feerje, trwonić dobrą ochotę melomanów— ale niewolno marnotrawić wybitnych walorów pracowitości — bo tej brak Operę właśnie gubi i w lekceważenie poddaje...

DWAJ TENORZY. Dowodem tkwiącego w narodzie bogactwa pięknych głosów — są dwaj śpiewacy — tenorzy, którzy jednocześnie zabłysnęli w naszem mieście. Jeden, jak dotąd, tylko na estradach Konserwatorjum i Filharmonji, drugi w teatrze Wielkim. Obadwaj przytem nie tyle olśniewają fenomalnością głosów swych, które są poprostu piękne, po europejsku piękne, ile umiejętnością i kulturą.

Pierwszy, z nich p. Cortilli, krakowianin, z wielu względów przypominający Jadlowkiera, jest artystą skończonym i wirtuozem znakomitym. Posiada oddech fetysza publiczności filharmonicznej — Smirnowa, ale za to powagę i czystość stylu śpiewaka dramatycznego, wyszkolonego na najtrudniejszych wzorach Zachodu. Spiewał, silnie i nawet groźnie niedysponowany, arje z „Toski," „Eugenjusza Oniegina" i inne, i trzeba było podziwiać jego sztukę falcetu i mezza voce, wspaniałe piana i diminuenda i wogóle technikę, i naturalną, jasną, wyrazistą dykcję i interpretację.

Drugi tenor—to p. Belina Skupiewski. Słyszeliśmy go w „Tosce“ i „Aidzie.“

Mogło się zdawać, że tenor, raczej liryczny niż dramatyczny, nie całkiem sprosta wielkiej partji Radamesa. I w rzeczywistości w wielkim duecie aktu trzeciego, nie wszystkie tony brzmiały bohatersko,—ale całość pod względem dynamiki i raptowności rzutów melodyjnych była całkiem wystarczająca. Niepospolitej łatwości nuty górne, aż do najwyższych, wynagradzają nie tak samo mocną średnicę i rejest dolny. Głos to przytem o brzmieniu jasnem, krystalicznie czystem. P. Belina Skupiewski miał sukces niebywały. P. Polińska-Lewicka uwzięła się, żeby dorównać znakomitemu partnerowi i sprawiła słuchaczom wspaniałą ucztę. Z taką potęgą i blaskiem rozprowadzania niektórych tonów, z taką siłą dramatyczną i rozmaitością koloryzowania fraz — nie śpiewała jeszcze nigdy.

Dzielnie dostrajali się pp. Leska, Michałowski i Freszel.

Przedstawienie owo „Aidy“ było jednym z najświetniejszych wieczorów w teatrze Wielkim i pokazało, czem opera nasza być może, jeśli niem być chce.

Dla pełni obrazu i wspomnienia: dyrygował Emil Młynarski. Na koncercie zaś Cortillego orkiestrę prowadził i zinterpretował wyśmienicie „Szeherezadę“ p. Bronisław Szulc. Wybornym akompanjatorem pianistą okazał się — nie po raz pierwszy — dr. Herman Datyner.

OSTATNIE KONCERTY FILHARMONJI. Symfonia Beethovena pod batutą Berdjajewa nie wypadła tak przekonywająco, jak poprzednio poprowadzona przezeń „Rapsodja litewska“ Karłowicza. Na całkiem ostatnim koncercie ukazał się znów Grzegorz Fitelberg i wykonał wraz z Drzewieckim niezmiernie dziki i ciekawy koncert fortepianowy Prokofjewa. Orkiestra i wirtuoz wzięli przeszkody szalonych temp i harmonicznych zuchwałych pomysłów. Do „Tańców brazylijskich“ Milhauda (z najnowszej grupy modernistów francuskich) może nie całkiem nadaje się technika lapidarna Drzewieckiego, ale zasługi kreowania i popularyzacji nio ie umniejsza.

Występ skrzypaczki p. Hansen miał w sobie niezwykły urok, na który złożyły się prerafaelityczna postać artystki, jakgdyby z sonetu Rossettiego, jej ton szlachetny i poezja interpretacji sonaty Griega, w której partję fortepianową prowadził towarzysz bardzo muzykalny.

NIEŚMIERTELNOŚĆ BAJADERY. Po operetce Eyslera „Wróg kobiet“, która swej starości nie wynagrodziła bynajmniej blaskiem gwiazd i pozostała właściwie bezgwiezdną, teatr „Nowości“ wznowił „Bajaderę“ Kalmana, i okazało się, że p. Lucy Messal użycza jej talizmanu wiecznej świeżości, gdyż publiczność ciągnie, jak na najwspanialszą premjerę. Nie pomogły a właściwie nie zaszkodziły Bajaderze — pile świetne parodje Rentgena i niemniej dowcipna cała jednoaktowa farsa-parodja w „Qui pro quo“, na której śmiano się aż do spazmów; artyści „Nowości“ nadzwyczaj porządnie i z przekonaniem traktują tę operetkę. P. Mierzejewski, nieobfitość swego głosu, zresztą tym razem mniejszą, wynagradza sowicie wyborną grą, p. Sendecki mniej szarżuje partję swą, która zresztą z nonsensów się składa, p. Józwiakówna jest bez zarzutu, p. Woliński ma dużo dobrych chwil. Orkiestra brzmi doskonale a dyrygent p. Górzyński poprostu uszlachetnia starte na liczman, choć przecież piękne, melodje Kalmana.

Cóż powiedzieć o p. Messalównie? Tylko kilka słów istotnego podziwu... Można się niebawić w stosunku do niej w feljeton: olśniewa operowym śpiewem, łatwym, czystym i dokładnym, zachwyca tańcem i tworzy poemat — kostjumami. Można nie być zwolennikiem ogromnych i dziwacznych linji kapeluszy i djademów i ich przybrań, ale to, co znakomita artystka skomponowała, sama czy na współkę z dekoratorem i artystą — konfekcjonistą w akcie drugim, jest tak bogate w barwy, tak celowo estetyczne, tak oryginalne a przedwszystkiem w ogólnym efekcie zharmonizowane, że tworzy istny klejnot scenicznej aparycji.

P. LILIEN-BLOOMSFIELD. Każdy śpiewak, władający dokładnie obcemi językami, budzi respekt. I słusznie: znak to, że przychodzi z szerszego świata, że nie jest prostakiem i rozumie, iż interpretacja pieśni (a nawet arji operowej) tylko wtedy ma duszę, gdy się dokonywa w oryginalnej mowie kompozycji. P. Lilien-Bloomsfield, lwowianka, jak sądzić można z akcentu, śpiewa pieśni francuskie i angielskie nie w tłomaczeniu. Nadaje im przeto cechę autentyczności. Śpiewa też pieśni ludowe polskie; w tych jest mniej świetna, gdyż za bardzo elegancka i wykwintna; akcenty i rytmy swojskie odtwarza dokładnie, lecz bez koniecznej domieszki rubaszności natury i przepuszczone są one przez pryzmat salonu i starannego wychowania. Śpiewa też pieśni murzyńskie i inne egzotyczne.

Jest to pieśniarka — diseuse z artystycznego rodu Yvetty Guilbert. Frazuje z wielką inteligencją i posiłkuje się głosem swym giętko i zręcznie; głos to nie ogromny i nawet stale tremolujący, ale to go raczej zdobi niż szpeci. Nie tchnie po wirtuozowsku wielką estradą, lecz otoczeniem kameralnem. W ogólności p. Bloomsfield jest pieśniarką, króra znakomitą kulturę włożyła w nierozległy ale wdzięczny dla prawdziwego artysty rodzaj charakterystycznych pieśni.

JACQUES DALCROZE I ISADORA DUNCAN mogą być dumni z Warszawy. Ich szkoły rozmnożyły się, rozpleniły nad Wisłą. Mają potomstwo liczne i zapału pełne. Umuzykalnianie przez taniec, rozwijanie rytmu i ładu cielesnego przez muzykę weszło u nas na porządek dzienny. Po prostu śmieszny jest, ale jakże mile śmieszny, ten odskok od dawniejszej tępoty muzycznej szerszego ogółu!

Widocznie ogół ten zrozumiał rewelacyjną wartość tych szkół, gdyż stale darzy ich popisy ciekawością i sympatją.

P. Kutnerówna jest jedną z najdawniejszych pionierek systemu gimnastyki rytmicznej, ma w tym względzie ustaloną sławę zasługę.

P. Paszkowska uprawia więcej rodzaj „poematów tanecznych," ilustrujących utwory suitowe i charakterystyczne kompozytorów lirycznych i romantycznych, jak Chopin, Grieg, Schumann i t. d. Udało się kierowniczce pozyskać na teren—scenę Teatru na wyspie w Łazienkach. Ramy wspaniałe, niektóre ewolucje zręczne, niektóre rozwiązują się w końcowym akordzie niefortunnie. Tancerki, ukończywszy „poemat," stają dość bezradne i dość zakłopotane rozchodzą się. Wielka monumentalna scena dużo dodała, ale i dużo ujęła. Stanowi ona wysoki djapazon, za wysoki...

P. p. Hulanicka i Mieczyńska zademonstrowały w teatrze Polskim doskonałe obznajmienie się dzieci i panien z klasycznemi formami muzycznemi, pierwocinami kontrapunktu, kanonu, fug i t. p. Jest to robota inteligentna, mozolna, o wybitnem znaczeniu pedagogicznem. Widziało się wiele numerów znakomitej sprawności rytmicznej i dyscypliny zespołowej.

Państwo Wysoccy zdołali nadać swojej „Szkole umuzykalnienia" charakter samoistny, indywidualny i poniekąd twórczy. Po za całkiem oryginalną metodą nauki solfeżu (i próby zamiany jego zgłosek dotychczasowych na nazwy nut polskie) kształcą oni zmysł kompozycji tanecznej i improwizacji, bez której sama natura tań-

ca jako wolnej gry uczuć i usposobień pozostaje czemś niewolniczem i naśladowczem. Szkoła ta posiada konsekwentny system, wyraźny podkład idei pedagogiczno-muzykalnej oraz – kilka wybitnie zdolnych uczennic, którym przewodniczy i towarzyszy w ewolucjach pani Tacjanna Wysocka.

NIEDOMYŚLNI. ODPOWIEDŹ OD REDAKCJI. Kilku czytelników zapytuje nas. kto to jest owa pianistka, „niby tylko filantropka, siostra miłosierdzia, a która jak siada do fortepianu, to—szyk, elegancja: swoboda inteligencja“, (Patrz ostatni feljeton, p. t. „Koncert nad koncertami“). Niedomyślni! jest i może być tylko jedna taka: p. Lucyna Robowska,

NIEBIESKI MŁYN w Wodewilu — mełł za długo, nie umiał się skracać a przeto żywot jego był bardzo krótki. Nie można powiedzieć, żeby nie miał on własnej fizjognomji, t. j. nie różnił się od teatrzyków podziemnych: „Qui pro quo“, „Stańczyka.“ Owszem wyodrębniało go to popierwsze, że czynny był w nocy, a w nocy Warszawa woli prać się po gębach w Oazie, niż spędzać bezużytecznie czas bezsenny na oryginalnych parodjach Bernarda Shawa („Namiętność i trucizna“), lub ciekawych przekrojach duszy—Jewreinowa („Za kulisami duszy“).

Powtóre, odrębność Niebieskiego młyna polegała na tem, że występował w szatach godowych i z szykiem paryskim, że sketche jego były podesłane poważniejszą myślą, oraz, że grupy sceniczne były układane z pewną ideą malarską, trochę formistyczną, lub futurystyczną. Mniejsza o nazwę: malarze sami przestali się orjentować, co i jak należy klasyfikować, ale pewien sens konstrukcyjny był, i prawdopodobnie wprowadził go p. Bruno Lechowski.

Śród wykonawców były doskonałe lub sympatyczne nazwiska, pp. Sulima, Bîegański, Żnicz, Mierzejewski; pieśniarki: pp. Solange—Achard i Lilien — Bloomfield, Parnell, Pawliszczewa, słowem: kwiaty, odpadłe od drzewa wielkich teatrów lub stanowiące po dzień dzisiejszy ozdobę teatrzyków, albo attrakcje zagraniczne z Paryża i Londynu.

Kierownikiem artystycznym był p. Anatol Stern. Nie upilnował miary czasu i za mało posługiwał się ołówkiem reżyserskim. Stąd wrażenie pewnego, przeciążenia, które widza nużyło, zwłaszcza, gdy się już czynił brzask ranny na niebie. Ale w całości stworzył rzecz staranną i w dobrym smaku i, właściwie mówiąc, nie ma się satysfakcji z tego, że ona poszła na marne.

SZALONA LOLA zainaugurowała sezon letni „Teatru Nowego“ i przenosiny jego do „Wodewilu“ Dyrekcja Władysława Szczawińskiego pozyskała sobie zupełne zaufanie i premiery jego stale ściągają publiczność nawet wtedy, kiedy sama sztuka, jak „Szalona Lola“ Hirscha stanowi raczej intermezzo w repertuarze, niż jego wielki wyścig lub derby operetkowe. Więc i tym razem letnia, miła i zaciszna widownia zapełniła się, jak w dobrze idącej, szczęśliwie urodzonej imprezie. Zwykły wesoły tańcząco-śpiewający krąg, którego środek stanowi Kazimiera Niewiarowska, ze swym nieporównanym wdziękiem i wyrazistością twarzy, tworzyli pp. Sokołowska, Morozowicz, Redo i Szczawiński.

Na premierze nie wszystko jeszcze szło całkiem składnie—na dalszych przedstawieniach publiczność nie przestaje się śmiać i żądać bisów.

KSIĘŻNICZKA OLALA Gilberta posiada niewiele muzyki. Ale ilekroć ta się odzywa, orkiestra wtedy brzmi dobrze. Motywy są rzadko rozrzucone po powierzchni Wodewilu, ale je cechuje za każdym razem pewna nieszablonowość. Główna zaś partja daje wdzięczne pole do popisu, zmiany kostjumów i ról. Pani Elna Gistedt zanim staje się na nowo księżniczką, zabawia się w mistyfikacje i koleguje z pannami służącemi. Zawsze zaś zachwyca i promienieje najważniejsza mistyfikacja: dziecięctwa i dziewictwa. Pod ich osłoną odważnie brawuje dezabilem, w którym znacznie więcej roztacza uroku, niż w śpiewie, dość bladym.

Z pośród partnerów szczególnie wyróżniał się rutyną swą p. Domosławski i p. Korabianka. Dyrygował p. Nawrot.

GLOSSA DO TAŃCÓW. W programie popisu szkoły pp. Wysockich przeczytaliśmy wstęp rozumowany p. Mieczysława Dunina o tańcu nowoczesnym, bardzo rzeczowy i inteligentny.

Z sąsiednich zagonów.

WYSTAWA „RYTMU". W piękny majowy dzień podążaliśmy do Łazienek na otwarcie wystawy obrazów. Sąsiedztwo i otoczenie wspaniale rozkwitłego parku byłoby dla nich stanowczo niebezpiecznie, gdyby sala w „Podchorążówce" nie była tak przestronną, powietrzną i wysoką, jak najpiękniejszy *plein air*. Szczęśliwy był to pomysł, zamienić ją na galerję „Rytmu". Wystawa wiosenna tak właśnie powinna szeroko oddychać. Ciasne łby do niej napewno pielgrzymować nie będą.

Na ścianach dwóch sal — nazwiska dobrze znajome. Malarze to, którzy sami zasugestjonowali się hasłem „rytm" i malują naprawdę coraz więcej pod jego wezwaniem. Nie przeszkadza to, że są między nimi i zdeklarowani gwałciciele rytmu jak np. Tadeusz Pruszkowski. I również łatwo mogłoby się zdarzyć, że do ich grona należałby ten i ów formista, który byłby uosobieniem dysharmonji i bezrytmiczności.

Są tu tacy, co mówią wiele, i tacy, co mówią mało i po dojrzałym namyśle. Do najwielomówniejszych należy Skoczylas. Płodny, niepokojąco łatwy w malowaniu olejnemi farbami i akwarelą, w drzeworytach i akwafortach. Najwięcej sobą jest w dwóch — mojem zdaniem — dziedzinach: gdy tnie w drzewie i gdy z dawnych, baśniowych gazdów i zbójników podhalańskich układa niby muzyczne passaże, silne w kolorze, polotne i kołyszące się w linii. W tych rzeczach ma swój styl i fizjognomię i zapisuje się trwale na kartach nowej plastyki. Gorzej jest, gdy do prymitywów swych siół, miasteczek, krajobrazów, gór i rzek, bogato zalud-

nionych naiwnemi zabawkami — kształtami, dołącza pokusy, zaloty, amory, erotyki. Wtedy rodzi się coś nieszczerego, sztucznego.

Do mniej mówiących należy Ludomir Ślendziński. Przyznaję otwarcie, że mi się ogromnie podoba jego soczysta pełnia kolorystyczna, wielki spokój portretów i ów styl wypolerowany a szeroki czasów Leonarda da Vinci. Organizująca się wystawa sztuki dekoracyjnej w Paryżu, z góry utrąca naśladownictwa i przeróbki szkół minionych. Nie jeden obraz z tego turnieju w Łazienkach zostałby w ten sposób zdyskwalifikowany, — nie daleko szukając np. Roguskiego,—ale portrety Ślendzińskiego napewno nie. Roguski znowu mówi dużo. Za wiele Madonn. Jako Pieta są już doskonałością w przetwarzaniu stylu ludowego i uduchawianiu głów, lecz w Madonnach z Dzieciątkiem—ono jest z wosku.

Tymon Niesiołowski od kończyn jak szparagi (może pod wpływem Picassa), przeszedł do kończyn i ciał, jak słonie, jak w modelowanych po rzeźbiarsku i silnie światłocienionych figurach zawieszonych w pierwszej sali.—Z jednej ostateczności w drugą. Kiedyż się uspokoi dusza tego artysty? Kiedyż wykąpie się w jeziorze lazurowem, jak ta jego kobieta z drugiej sali? Oto obraz ciekawy, wytrysły z pradziwej wizji, z silnym kolorystycznym sentymentem i pyszną syntezą krajobrazu, niewykalkulowany, własny, bezpośredni.

Co do Zaruby, czekam z charakterystyką, aż ja go zrozumiem, albo aż on siebie zrozumie. Wąsowicza uważałbym za jednego z najtęższych konstruktorów — kompozytorów, figur i konturów rytmicznych. „Ogród", „Muzyka", Portret dziewczynki usadowionej w fotelu — lekkie i melodyjne. Kramsztyka posłałbym na wygnanie do Włoch, ażeby swą kamienność prześwietlił słońcem lub czemś innem jasnem i lekkiem Martwa natura — wyborna. „Malarz Witkowski"—bo ja wiem? Brzydką jest rzeczą naturalizm, ale nieraz zawodzącą — upór stylizacji za wszelką cenę. Eugenjusz Zak — zakonicznie — lakoniczny. Borowski mistrz już gotowy i dojrzały — stoi na progu epoki, w której pewnie sprzykrzy mu się malować ciągle w powietrzu przesyconem rozproszkowaną cegłą i farbami mularskiemi i szafować kolorowym światłocieniem bez światła. Oczywiście, z zastrzeżeniem tej przejściowości, obrazy jak „Wiosna" lub „Napad", są bardzo piękne i ciekawe i stanowią swój świat i rodzaj. Tadeusza Gronowskiego znamy z mnóstwa ornamentowanych przez nie-

go okładek — tutaj w szeregu fantazji graficznych daje do zrozumienia, że lubi motywy linjowe ostre, kątowate, nieco geometryczne.

„Chlaśnięcia" — tak by je można było nazwać — Pruszkowskiego rozbrajają swoją bujnością i swawolą, z której nieraz wytryska jak gdyby szczęśliwym przypadkiem, doskonały portret damy z iskierkami w oczach lub samego artysty, jako „Rytmisty z cytryną".

Głowa Jana Lorentowicza, rzeźbiona przez Kunę, osiągnęła szczyt czystości linji i powagi klasycznej.

„Rytm" ustalił się w swym charakterze grupy najbardziej kulturalnej i wzajemnie swoje dążenia tłomaczącej. Niemasz w nim ani trywialności realizmu ani drażniącej i zawsze nieco podejrzanej brawury eksperymentalistów skrajnych. Jest to w swoim rodzaju *centrum* — nowoczesnych stronnictw malarskich, owo centrum, tak poszukiwane i pożądane w polityce.

WYSTAWA OBRAZÓW HALINY KOSSOBUDZKIEJ

Z dziwnem uczuciem oglądałem te płótna. Anioł śmerci obejmował je swemi skrzydłami. Artystka, w latach zaledwo powiosennych, poszła tam, gdzie są pejzaże najbardziej tajemne ze wszystkich. Znałem ją oddawna i widziałem, jak się do owej krainy zbliża drobniejszemi krokami ale niechybnie. Dzisiaj patrzące na nas z za świeżej mogiły. te oczy entuzjazmu dla natury, nawiewają wielką melancholję.

Brzegi pomorskie, z pokrzywionemi od wichru jak kosodrzewina zaroślami, szczyty tatrzańskie, doliny pod całunem śnieżnym i przedewszystkiem kwiaty, wielkie stosy kwiatów — oto widocznie najgorętsze umiłowania ś. p. Haliny Kossobudzkiej. Malowała szeroko i lubiła intensywność w motywie przyrody. Całą wiosnę kaczeńców i jaskrów kładła w wanienkę, wielką więź tulipanów stawiała w dzbanie obok rozkosznych figurynek porcelanowych; tonęła w różach, betunjach, złocieniach. Nie szuka w nich o wych dróg kompozycji lub techniki, lecz daje wielką pasję rozumienia natury—na lądzie czy na morzu. Widać, że pracowała nie dla karjery, lecz z czystego pietyzmu dla sztuki i namiętności dla kolorystycznej bogatej plamy.

W wielkim dorobku Kossobudzkiej, który tak niespodzianie ukazał się na ścianach Zachęty, niebrakło portretów i aktów i tematów z życia zwierząt. Wszystko to, szczególnie zaś towarzystwo świń i wieprzów w wielkim chlewie, dyszy siłą i prawdą ujęcia, uczciwością i wyrobieniem talentu malarskiego widzenia.

Wielka szkoda i wielki żal...

AKADEMJA LITERACKA. Po raz pierwszy, odkąd istnieje Związek Zawodowy Literatów Polskich, udało mu się zorganizować występ zbiorowy swoich koryfeuszów, ażeby rezultatem pieniężnym ocalić od śmierci tych, co głodują lub są chorzy, a samej swe zbiorowosci przywrócić urok i blask, który miała przed wszechświatowym pogromem intejigencji. Pieniądze zebrano, a w gronie słuchaczów w sali Ratusza świecił swą zawsze skromną i zawsze głębokiej powagi pełną obecnością Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.

Naogół więc Akademja była imprezą szczęśliwą. Lecz czy to szczęście będzie fundamentem dla—przyszłego rozwoju Związku Literatów? Czy od tej uroczystej chwili zacznie się era jego powagi i autorytetu?

Śmiemy wątpić. „Związek", pomimo, że należą doń tacy jak Żeromski, Sieroszewski, Strug, Staff, i tylu innych, czczonych i nawet wielbionych, będzie zawsze śnił o potędze i wołał w niebo głosy o ster i berło, które mu się w sprawach ducha należą. Będzie wołał daremnie, sukcesy jego występów nazewnątrz będą poprzedzane wielkiemi bólami porodowemi, misterną strategją w kombinowaniu nazwisk, „44" zabiegów i szlachetnych, desperackich podstępów, żeby módz pomódz tym nieszczęsnym kolegom, co nie mogąc znaleźć taniej lecznicy, musieli przyjąć gościnność — w Tworkach. Tak będzie zawsze, póki związek naczelników ducha i kapłanów psychy narodowej nie uczyni tytanicznego wysiłku, żeby wypalić ogniem pewien przedział. Literaci polscy dzielą się bowiem na takich, co mają pełne prawa do bytu, i dobrobytu, rozgłosu i sławy, poszanowania ich nazwisk, zasługi i pracy, oraz takich, co są z wszelkich praw wyzuci, wyzuci wobec społeczeństwa, potomności, fortuny, faworów państwa i łask księgarzy wydawców, i bodaj elementarnego bezpieczeństwa przed napadami literatyzujących zbójów, złodziejów i innych moralnych plugawców. Ta dziedzina, w której musi panować absolutne równouprawnienie w zasadzie, różnice zaś mogą wypływać tylko z różnic umysłowego uposażenia — dziedzina twórczości literackiej — jest w Polsce przeżarta trucizną potwornego nonsensu kastowości. Póki taki stan rzeczy, niezrozumiały dla normalnego człowieka, niemca, francuza, anglika, włocha, turka, nawet, mongoła, dla każdego wzniesionego nad poziom małpy lub idjoty—trwa, literatura polska dzisiejsza wraz z swym Związkiem powinna mieszkać cała, jak jest — w Tworkach.

To mogą i powinni jej powtarzać stale wszyscy, nie wyłączając najbardziej sprawom zawodowym tego Związku oddanych.

Sen Marszałka Focha.

Na uroczystem przedstawieniu „Bajki" Ludomira Rogowskiego. (*Po mieście krążyły pogłoski, że za fotel na ten wieczór na cześć wielkiego gościa francuskiego, ofiarowywano do 6 miljonów. Jakoż, widownia była tak bogata w ordery, szarfy, dekoracje, wspaniałe stroje damskie, jak chyba nigdy jeszcze. Po hymnach narodowych Marszałek Foch, zmęczony ceremonjami i przyjęciami oraz bólem pęcherza, miał ogromną ochotę zdrzemnąć się. Dopomogła mu do tego „Bajka" Rogowskiego. Gdy pierwsze akordy w orkiestrze zabrzmiały, wielki wódz zasnął z przymkniętemi na wpół oczami. Myśli jego sennie się plątały z sobą i z obserwacjami rzeczywistości*).

Hm, ładna muzyka, nie ma co mówić... zwłaszcza, kiedy sobie przypomnę tę straszną orkiestrę, którą w dzień mego przybycia ustawiono na Krakowskiem Przedmieściu, na wprost soboru To było okropne, brrr! O, co to za kupa dzieci wychodzi tam z czarodziejskiego kufra? Sapristi, w tym kraju kocich muzyk nawet kufry rodzą dziatwę, a u nas kobiety nie chcą... Aj, aj! co za cudowne dzieci, jak tańczą! A gdybym tak ja urodził kilkoro? ojej, tak boli, boli (*tu chwyciły marszałka bóle prawie że porodowe*) och, już rodzę.. (*Tu ocknął się. Piękny Zajlich i cudowna Szmolcówna bardzo mu się podobali*) O, ci także pewnie rodzą dzieci. Szczęśliwy kraj! Ale ta muzyka strasznie przypomina tę naszą francuską.. Jednak polacy to elegancki naród — nawet muzykę francuską na moją cześć skomponowali. Tylko taka jakaś rzadka, — jakgdyby zjedzona przez mole (*w tem miejscu właśnie w loży zaczęły latać mole*). Ale o co im chodzi? Nic a nic nie rozumiem. Ten *cher maître* Rogowski to nie tylko Orfeusz, ale i Morfeusz! Jak on potrafi ukołysać do snu!.. Ale co za łydki pi, pi! Prawie takie, jak te, które mają żołnierze polscy. Macałem je przecież... Podobno parę lat wcześniej tak samo macał je Beseler... Co za armja, co za armja (*drzemie znowu*). Ten generał Sikorski to dzielny człowiek, sympatyczny, wytworny, dobry generał, żal mi go. Chcą go obalić, czy nie lepiej żeby sam ustąpił? Po co narażać życie? Będzie ono nam jeszcze potrzebne w wojnie z boszami... A tu tylu malarzów! Więc pewnie i kiepskich

sporo, a kiepski malarz zawsze jeszcze może być tęgim zabójcą. Muszę to Sikorskiemu powiedzieć... (*Czując na sobie spojrzenia wielu pięknych oczów i lornetek, Marszałek Foch ocknął się i szeroko otworzył źrenice*). Ach te warszawianki! Gdyby tak można było, gdyby wypadało. A Napoleona, tego szarlatana, to mogli częstować hrabinami... Dla czegóż mnie nie? *Ah, si j'etais roi*... Prawda, prawda i jestem nieco starszy od niego. Ależ umieją ugaszczać. Pamiętam (*drzemie znowu*) jak Feliks Faure zaprzyjaźnił się z Mikołajem II, i myśmy umieli aranżować takie rauty, uczty i pochody na ulicach. Pieściliśmy i całowali rosjan do zapamiętania, aż któreś z pism paryskich zapytało delikatnie: a możebyśmy tak poprzestali na całowaniu ich w twarze?... Teraz mamy satysfakcję za owo upokorzenie—teraz polacy włażą nam bez mydła. Uf, jak boli, ach jak boli!... (*drzemie; na scenie jakieś smoki, z dwoma łbami, podtrzymywanemi przez pachołków, jakieś potwory z tektury i z zielonemi lampkami w oczach, przesuwają się utykając przez scenę. Marszałek budzi się*). Ależ to naród muzykalny, ci polacy, mało kto śpi, przeważnie słuchają... Oho, to walc, aż miło, zatańczyłbym, tylko ta prostata...*)(*drzemie*). Ef, ef! Feliks Faure... Ferdynand Foch... I bogaty naród... Trzysta miljonów na to, żebym ja mógł się przespać... ale dlaczegóż tu niema porządnej otomany? (*budzi się*) A to pewnie ma oznaczać zimę... Biedne Moulin Rouge, dla czego ciebie tutaj niema?... Oileż w tobie ładniejsze były te żywe obrazy i fantazje z czarnej i białej materji! A ta czarownica, co roni po drodze kurze jaja, to musi być pewnie pani Helena Paderewska,.. Oh la la, *Quelle fécondité!* Dzieci, pisklęta, jaja, Emil Zola... Dzisiaj jeden z najbardziej wpływowych dzienników umieścił wstępny artykuł p. t. „Tryumfalny wjazd Marszałka Focha do Polski." A więc jestem zdobywcą tego pięknego kraju. Dla czegóż nie wznieśli dla mnie *l'Arc de triomphe?* W każdym razie czuję się jak na skrzyżowaniu dróg całego świata: muzyka francuska, Thorwaldsen—duńczyk, ks. Józef Poniatowski—rzymianin... Aj, co za wspaniałe rogi, nie, to nie rogi, to trąby... o te trąby to już pewnie polskie.. A więc *Vive la France!*

(*Szalone brawa i oklaski do reszty oprzytomniają wielkiego gościa*)

---

*) gruczoł krokowy.